

Młody Kraków

MAGAZYN
MŁODYCH

Czytajże!

Młodzi idą
na swoje

Zawód
youtuber?

Wojsko
czeka na młodzież

Geniusz
od niechcenia:
Quentin
Tarantino

nr 3 • Maj 2019 • www.mlodziez.krakow.pl • ISSN 2657-585X • nakład 3000 egz.





Mój własny biznes?

Jeszcze nie tak dawno postrzegano przedsiębiorcę jako inwestującego w przemysł bogacza z walizką pełną pieniędzy. Starszego pana w cylindrze, mającego przy sobie paczkę drogich cygar. Świat się jednak zmienia. Dziś, aby odnieść sukces w biznesie nie trzeba oszczędzać przez większość życia, by dopiero po latach móc zacząć działać. Obecnie liczy się kreatywność i chęć spełniania swoich marzeń, ale również doświadczenie w prowadzeniu własnej działalności. Właśnie dlatego coraz częściej studenci, a nawet uczniowie szkół średnich, zakładają swoje pierwsze firmy. Potrzeba do tego wiele odwagi, ciekawego pomysłu i choć skromnego kapitału. Wiele z tych małych firm, zwanych start-upami, nie przetrwa próby czasu, ale wiedza nabyta w swoim pierwszym biznesie jest bezcenna. Może nam pomóc spełniać marzenia. O tym właśnie, o młodych przedsiębiorcach, piszemy w majowym wydaniu „Młodego Krakowa”. Ponadto w numerze znajdziecie m.in.: rozmowę o rekrutacji do wojska, szczyptę kultury i zaproszenie do Islandii.

Bartek Hałatek

CO W NUMERZE

- 3** Młodzi idą na swoje
- 5** Jeśli coś sobie wymarzyłem, jestem w stanie to osiągnąć
- 7** Zawód youtuber?
- 9** Wojsko czeka na młodzież
- 11** Bohemian Rhapsody. Historia prawdziwa (?)
- 13** Światła rampy, flesza blask
- 14** Geniusz od niechcenia: Quentin Tarantino
- 16** Daleka wyspa gejzerów i wulkanów
- 18** Akta w sprawie ACTA

**Młody
Kraków** MAGAZYN
MŁODYCH
Czytajcie!

Projekt „Młody Kraków – Młode Media”
otrzymał nagrodę Europejskiej
Sieci Miast Przyjaznych Dzieciom
w Stuttgarcie w roku 2011.



Wydawca:

Urząd Miasta Krakowa
Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Adres redakcji:

os. Centrum C10, 31-931 Kraków

Kontakt z redakcją:

tel. 12 616-78-19

e-mail: mlodziez@um.krakow.pl

Redaguje zespół:

Tomasz Talaczyński (redaktor naczelny),
Bartek Hałatek, Maja Jakubowska,
Lidia Kędra, Weronika Koczot,
Kinga Kowal, Jakub Piłarski,
Jan Skowronek, Martyna Smoter,
Mateusz Talaczyński, Agnieszka Wilkosz

Współpraca:

Zuzanna Bober, Klaudia Dynur,
Jakub Leśkiewicz, Łucja Woźniak,
Jan Woźniak

**Opracowanie graficzne,
pomoc redakcyjna i korekta:**

Pracownia Register
ul. Halczyna 7, 30-086 Kraków
tel. 12 265 85 50
e-mail: info@pracowniaregister.pl
www.pracowniaregister.pl

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych, zastrzega sobie prawo
ich skracania, zmiany tytułów oraz
redakcyjnego opracowywania tekstów
przyjętych do druku.
Fotografie zamieszczone w magazynie
są ogólną ilustracją tekstów, nie zawsze
przedstawiają bohaterów artykułów.

**Młody
Kraków**



Młodzi idą na swoje

Coraz popularniejsze **start-upy** to sposób na założenie pierwszego biznesu.

Godzina trzecia w nocy. Ania chowa farby i sprząta stół. Pomalowane tablice wystawia na korytarz do wyschnięcia. Za kilka godzin mieszkająca na tym samym piętrze jej współniczka i pomysłodawczyni firmy, Ola, zabierze tablice do swojego mieszkania, by rozpocząć ich skręcanie. W ciągu dnia przyjdą pewnie kolejne zamówienia. Po Bożym Narodzeniu, przed którym klienci kupują zabawki, intensywność ich napływania nie spadła, a wręcz wzrosła. Za kilka dni współniczki spotkają się w kawiarni, by zastanowić się nad wprowadzeniem do sprzedaży nowego produktu dla dzieci.

Pierwszy mały biznes

Start-up to modne słowo. Określa się nim biznesowe przedsięwzięcia, rozwijane najczęściej przez młodych przedsiębiorców. Ich cechą są zazwyczaj tymczasowość i poszukiwanie stałego, rentownego modelu działalności biznesowej. Ania i Ola nie są pewne, czy ich firmę można zaliczyć do grona start-upów. Własną definicję zaproponował ekonomista Szymon Wierciński, który stwierdził, że start-up to nie tyle kategoria firmy, co początkowy etap jej istnienia. Ma on się kończyć, gdy młode przedsiębiorstwo nie musi już walczyć o przetrwanie na rynku, zaś jego twórcy są w stanie wypłacać sobie satysfakcjonujące wynagrodzenie. W amerykańskiej kulturze biznesowej z pojęciem start-upu często łączy się pojęcie crowdsourcingu, czyli pozyskiwania informacji lub ludzi posiadających konkretne, przydatne w działalności firmy umiejętności poza kręgiem jej pracowników oraz crowdfundingu, czyli poszukiwania kapitału u rodziny, przyjaciół, inwestorów indywidualnych lub nawet klientów w zamian za np. partycypację w przyszłych zyskach firmy. W kontekście niektórych, kapitałochłonnych start-upów mówi się o aniołach biznesu (*angel investor*), czyli zasobnych w kapitał inwestorach, którzy wspierają start-up w początkowej fazie jego istnienia. Wydaje się jednak, że na gruncie polskim pojęcia te jedynie luźno wiążą się z działalnością start-upów. Świadczy o tym raport pt. „Polskie Startupy. Raport 2018”, zgodnie z którym 50% polskich start-upów finansuje się kapitałem własnym założycieli.

Mój pomysł, moje dziecko

Początki start-upu bywają różne. Grafik komputerowy Mateusz, założyciel Creoflame, jednoosobowej firmy zajmującej się tworzeniem wizualizacji nieruchomości dla architektów i produktów dla przedsiębiorstw, opowiada, że dość wcześnie wiedział, co chce robić. – Od początku celowałem w grafikę, myślałem też o tworzeniu conceptów do gier. Zastanawiałem się również nad poligrafią, ale ostatecznie najbardziej spodobała mi się grafika 3D. Nie poszedłem zatem na studia, uczyłem się z tutoriali dostępnych online. Całą wiedzę czerpałem z poradników z Internetu, ewentualnie kupowałem dodatkowe kursy – opowiada. – Jednak nie w każdej branży można postąpić jak ja i lekką ręką zrezygnować ze studiów. Po prostu specyfika mojej dziedziny jest taka, że klientów nie interesują zdobyte przeze mnie certyfikaty i dyplomy, a konkretne umiejętności. Dokument w mojej branży nic nie udowadnia. Liczy się portfolio – wskazuje.

Pomysł na ABAM, założoną przez Olę i Anię firmę, sprzedającą tablice manipulacyjne dla dzieci, narodził się nieoczekiwanie. – Z wykształcenia jestem prawnikiem. Przez wiele lat wykonywałam ten zawód, ale w pewnym momencie poczułam się nim zmęczona. Ania, która była opiekunką mojego starszego syna, z wykształcenia jest pedagogiem. Wpadłyśmy na pomysł tworzenia tablic – zabawek, dzięki którym dzieci będą mogły rozwijać umiejętności manualne. Widziałam, jak





→ mój półtoraroczny syn bada wszystkie zamki, blokady przy rowerze, więc czułam, że pomysł może odnieść sukces – wspomina Ola.

Panowie własnego losu

Jakie są największe zalety prowadzenia start-upu? Grono moich rozmówców odpowiada jednym głosem: są panami swojego czasu pracy, który może być bardzo elastyczny. Wspólniczki w firmie ABAM mogą pracować nad tablicami w dowolnej chwili. Ania podkreśla, że do malowania tablic nie jest potrzebna pełna koncentracja, zatem po powrocie z pracy i rozłożeniu farb można pracować oglądając film czy serial. – Pracuję nad tym, co sama zaplanuję. Mam pełną dowolność, bo jestem pewna, że szef nie utraci mojego pomysłu – śmieje się Ania. Po chwili dodaje: – Cieszę mnie, gdy sprzedaję dzieło własnych rąk. Klienci odsyłają nam zdjęcia z dziećmi bawiącymi się tablicami, taki feedback jest źródłem satysfakcji. Chociaż gdy mamy tak dużo zamówień, jak np. w listopadzie, to w końcu dosięga nas przesyt i tablice nawiedzają nas w koszmarach.

Mateusz podkreśla, że wspaniale czuje się, nie będąc zależnym od jakiegokolwiek szefa. – Jestem panem własnego losu, pracuję na swoim, cały czas rozwijam swoją markę i nazwisko. Każda z moich prac idzie tylko i wyłącznie na moje konto, a nie na konto firmy. Firma to ja. Poza tym nie mam ograniczeń zarobkowych, to co wypracuję ciężką pracą, będzie moje – opowiada założyciel Creoflame. Na razie nie myśli o rozbudowie firmy, gdyż stały pracownik generowałby zbyt wysokie koszty. Gdy zleceń pojawia się tyle, że Mateusz nie jest w stanie sam im sprostać, korzysta z usług innych grafików jako podwykonawców.

Jak zdobyć klienta?

Wśród wad prowadzenia start-upu najpoważniejszą wydaje się niepewność co do przyszłości firmy i możliwości znalezienia klientów. Ciekawe w tym zakresie są doświadczenia Ani i Oli. Wspólniczki pierwszy rok działalności zakończyły z kilkutyśniczną stratą. Ola była wówczas przekonana o konieczności zamknięcia firmy, jednak niespodziewanie, po wprowadzeniu atrakcyjniejszego wzoru tablicy i nowych kolorów pojawiło się wiele nowych zamówień.

Jeśli chodzi o marketing, Ola przyznaje, że bezcenny jest osobisty kontakt z klientem. – Przekonałam się o tym w poprzedniej pracy, w Klubie Jagiellońskim, gdzie zajmowałam się fundraisingiem. Oczywiście Allegro umożliwia załatwienie wszystkiego w sposób mechaniczny, wpisuje się po prostu numer przesyłki i portal przesyła do kupującego informację. Ale my oprócz tego wysyłamy spersonalizowane maile, bo klienci też mają różne życzenia, jak np. prośba o szybką wysyłkę. Taki klient czuje wówczas, że nie jest traktowany jako bezimienny target, członek masy. Dla nas jest to konkretnie pani Kamila czy pani Ewelina. Takie osoby chętnie do nas wracają.

Z kolei według Mateusza, obok zadowolonych klientów najskuteczniejszą formą marketingu jest Facebook. Zapewnia on znakomity system targetowania, który umożliwia założycielowi Creoflame dotarcie do grupy odbiorców w określonym wieku. – Jeżeli mała firma chce na Facebooku zrobić zasięg dla 4–8 tys. osób, musi wydać ok. 50 zł za reklamę. Na pewno wychodzi to taniej niż pozycjonowanie się w wyszukiwarce Google – przekonuje Mateusz.

Strategię biznesową trzeba przemyśleć

Zdaniem Mateusza, jeśli ktoś zamierza założyć firmę po ukończeniu szkoły średniej, powinien przede wszystkim szukać jak największej liczby ludzi z branży i pytać ich o radę. – Ale pytajmy tylko kompetentnych osób! Rodzina może nam odradzać założenie firmy, będzie postrzegać ją jako coś niepewnego lub niestabilnego, ale miarodajne są jednak głosy ludzi z branży i to im powinniśmy w pierwszej kolejności zaufać – podkreśla. Warto też sięgnąć po dofinansowanie z funduszy unijnych lub z Urzędu Pracy. – Jednak przede wszystkim trzeba działać rozsądnie, zaoszczędzić najpierw ok. 3–4 tys. zł i to przy założeniu, że sama działalność nie generuje kosztów, bo ZUS i podatki będziemy musieli płacić, a w początkowym okresie działalności zleceń na pewno będzie niewiele. Dlatego też zanim założymy firmę, zadbajmy już o pierwszych klientów. Szczególnie jest to ważne, gdy samo przedsięwzięcie wiąże się z wydatkami, takimi jak np. wynajem lokalu czy kupno półproduktów. W przeciwnym wypadku firma zacznie działać, pojawią się koszty, a my możemy zostać na lodzie – ostrzega Mateusz. Z kolei Ola zwraca uwagę na ważny aspekt kilkuosobowej działalności: wspólnikom przede wszystkim nie wolno pokłócić się o pieniądze, na co szczególnie narażeni są wówczas, gdy w początkowym okresie istnienia firma nie przynosi zysków. – Wreszcie, wiem, że brzmi to jak cytaty z Paulo Coelho, ważne jest, by cieszyć się tym, co się robi. Szczególnie gdy nowy produkt okaże się strzałem w dziesiątkę – kończy założycielka firmy ABAM.

Jan Woźniak





Jeśli coś sobie wymarzyłem, jestem w stanie to osiągnąć



Jesteś twórcą aplikacji Wzorowo. Co cię skłoniło, by ją stworzyć?

→ Aplikację stworzyłem razem z moim współnikiem Przemysławem Gędźbą. Pomysł wziął się z prostej potrzeby. Jak wiadomo, korzystanie z wzorów matematycznych i fizycznych dla uczniów szkół technicznych jest codziennością, a nie sposób je wszystkie zapamiętać. Człowiek zapisuje je na kartkach, wkłada do plecaka a potem najczęściej wyrzuca do kosza. A jeżeli wszystko znalazłoby się posegregowane w jednym miejscu w pamięci telefonu, byłoby to bardzo wygodne. Można ich użyć, gdy się uczymy, powtarzamy, rozwiązujemy zadania.

Co potrafi stworzona przez was aplikacja?

→ Przede wszystkim aplikacja Wzorowo jest bazą danych. Pomoże w nauce matematyki, fizyki i chemii. W przyszłości planujemy wzbogacić ją o kalkulatory, dzięki którym będzie można odczytać każdy wzór osobno. Zamierzamy umieścić w niej również układ okresowy pierwiastków zawierający szczegółowe informacje na ich temat. W przyszłości będzie miała zastosowanie w wielu dziedzinach, takich jak elektronika, mechanika, geografia.

Myślisz, że dałoby się stworzyć podobny program do przedmiotów humanistycznych?

→ Tak, pracujemy już nad takim projektem. Chcemy zrobić aplikację zawierającą wiedzę z zakresu historii i języka polskiego. Mój kolega ma już na to pomysł, więc zdam się na niego.

Na jaką skalę chciałbyś upowszechnić wasz produkt?

Rozmowa z **Adamem Białeckim**, uczniem Technikum Elektrycznego nr 2 w Krakowie, przedsiębiorcą, twórcą aplikacji Wzorowo.

→ Myślę, że parę milionów użytkowników pozwoli odczuć satysfakcję. Aby to osiągnąć, planujemy w niedługim czasie stworzyć wersję anglojęzyczną i wypromować ją poza Polską. Gdy produkt trafi na Zachód, odzew będzie na pewno dużo większy.

Czy tworzenie takich narzędzi może wpłynąć na poziom edukacji w szkołach?

→ Myślę, że bardzo, bo technologia zmienia nasz świat. Kilka lat temu w szkołach nie korzystano z komputerów podczas lekcji, a teraz nie można sprawdzić obecności bez dostępu do dziennika elektronicznego. Uważam, że przekładanie całej wiedzy książkowej do aplikacji nie jest dobrym rozwiązaniem, bo czytanie książek jest równie ważne, ale na pewno wiedza zawarta w aplikacji pomoże uczniom.

Jesteś młodym przedsiębiorcą. Jak przedstawiłbyś swoją firmę? Czym ona się zajmuje i jaki jest w niej twój udział?

→ Firma nazywa się Docbite. Pierwsze próby działalności podjąłem razem z kolegami w wieku 16 lat.





→ Tworzyliśmy grafiki komputerowe na zamówienie różnych osób, ale byliśmy za młodzi, nasze dzieło upadło. W technikum poznałem kolegę z podobnymi zainteresowaniami i wspólnie zajęliśmy się tworzeniem stron internetowych. Potem wpadliśmy na pomysł aplikacji. Obecnie jest nas trzech, mamy dużo pracy, zajmujemy się aplikacjami komputerowymi, tworzymy grę, o której na razie nie chciałbym więcej mówić. Działamy na szeroką skalę, w przyszłości chciałbym ją trochę zawęzić, aby zając się konkretnie jedną dziedziną.

Skąd pomysł, aby już w technikum zająć się biznesem? Nie uważasz, że to za wcześnie?

→ Może zabrzmiało to śmiesznie, ale wszystko wzięło się od coachów, których słuchałem na YouTube. Ludzie często śmieją się z motywujących filmików i „wychodzenia z własnej strefy komfortu”, ale ja poznałem m.in. Krzysztofa Króla. To dość popularny autor, zacząłem go oglądać, słuchać i to jego gadanie coś mi jednak dało. Stwierdziłem, że nie mam zamiaru w dorosłym życiu dla kogoś pracować. I tak to się zaczęło. Nie uważam, żeby to było za wcześnie, bo znam przykłady osób, które osiągnęły sukces w młodym wieku. Osiemnastoletni Anglik Nick D'Aloisio stworzoną przez siebie aplikację mobilną streszczającą wypowiedzi medialne sprzedał firmie Yahoo za 30 milionów dolarów.

Z jakimi wyzwaniami muszą się zmierzyć młodzi przedsiębiorcy na naszym rynku?

→ Myślę, że największym wyzwaniem, przeszkodą, w osiągnięciu sukcesu są bardzo małe fundusze. Jak już zdążyłem doświadczyć, bez odpowiedniego kapitału nie można zrobić skutecznej reklamy. Trzeba uderzać do wszystkich mediów po kolei – ktoś się na pewno odezwie. I trzeba prosić o darmową reklamę, bo sami nie jesteśmy w stanie zapłacić za większy marketing. Innym wyzwaniem jest motywacja, dlatego, że wielu rzeczy trzeba sobie odmawiać i poświęcać bardzo dużo swojego czasu. Bo im bardziej się angażujesz, tym więcej masz obowiązków i tym więcej rzeczy jest na twojej głowie.

Jak powstawanie takich firm jak twoja wpływa na nasze miasto?

→ To inwestycja dla całej społeczności. Pojawiają się nowe miejsca pracy, młodzi ludzie są zupełnie inaczej postrzegani,

a ci, którzy działają, mogą motywować innych. Jeśli młodzi już na starcie się angażują, ich działalność systematycznie będzie się rozwijała. Bo tak naprawdę wszystko przechodzi w nasze ręce, my zaczynamy rządzić jako dojrzały, dorośli ludzie. Im szybciej zaczniemy, tym większa jest szansa na to, że przyszłość będzie kolorowa.

Skąd bierzesz motywację do takich działań?

→ Przede wszystkim z tego, że wizualizuję swoje marzenia. Bardzo lubię chodzić w miejsca, gdzie są ludzie bogaci, tacy, którzy osiągnęli sukces i są dla mnie wzorem. Patrzę na to, co oni zrobili i motywuję się, że ja kiedyś będę do nich podobny. Myślę, że dużo daje mi także czytanie historii o ludziach, którzy wspięli się na szczyt po odbiciu się od dna. Jest mnóstwo takich ludzi, np. Jeff Bezos, którzy osiągnęli wiele, choć początki mieli marne.

Uważasz, że marzenia mogą stać się rzeczywistością?

→ Tak, jestem tego pewny. Ktoś mądry powiedział, że jeżeli jesteś w stanie coś sobie wymarzyć, to jesteś też w stanie to osiągnąć. Wiele osób to udowadnia. I ja chcę być taką osobą. Chcę udowodnić, że jeśli coś sobie wymarzyłem, jestem w stanie to osiągnąć.

Myślisz, że inni młodzi ludzie mogą działać podobnie? Jak zachęciłbyś ich do angażowania się w przedsięwzięcia biznesowe?

→ Takich osób jest więcej. Świadczy to o tym, że nasze pokolenie jest bardzo aktywne. Trzeba wierzyć w swoje umiejętności. Rok temu nie powiedziałbym, że uda mi się stworzyć aplikację mobilną, a teraz każdy może ściągnąć ją na komórkę. Mam swoją firmę, zajmuję się biznesem i to działa. Trzeba przede wszystkim znaleźć w sobie odpowiednią motywację, mentora i wymarzyć to, do czego chce się dojść.

Dziękujemy za rozmowę i życzymy powodzenia w kolejnych przedsięwzięciach.

Rozmawiali
Kinga Kowal i Mateusz Talaczyński



Zawód youtuber?



Publikowanie filmów w Internecie stało się nowym sposobem zarabiania pieniędzy.

Wrzucanie filmików do sieci sposobem na utrzymanie się? Co to w ogóle za zawód!? – powie niejednen dorosły. A jednak dla wielu osób, zwłaszcza młodych, publikowanie filmów stało się przepustką do sławy i pieniędzy. W Internecie znajdziemy wiele kanałów o najróżniejszej tematyce – od gier komputerowych i challenge'ów, po urodę i zdrowy tryb życia. Pomyśleć, że wszystko zaczęło się od opowiadania o słoniach i ich trąbach...

Dobry pomysł na początek

Dobrze wszystkim znany serwis internetowy YouTube w lutym 2005 roku założyli Chad Hurley, Steve Chen i Jawed Karim – byli pracownicy przedsiębiorstwa PayPal. Wystartował on dzięki tzw. aniołowi biznesu, czyli osobie, która inwestuje w projekt swoje prywatne pieniądze, ale w zamian oczekuje określonego udziału w zysku. Tak więc witryna internetowa została otwarta. Teraz brakowało już tylko pierwszego filmu. Ten pojawił się w sieci 23 kwietnia w tym samym roku. Dziesiętnastosekundowy filmik nosi tytuł „Me at the zoo”. Pokazuje jego autora – Jaweda Karima, który stojąc przed wybiegiem dla słoni w zoo zachwyca się długością ich trąb.

Serwis bardzo szybko stał się popularny i już w 2006 roku był jedną z najszybciej rosnących witryn internetowych. W ciągu doby umieszczano na nim około 65 tysięcy nowych filmów. W roku następnym, jako jedna z pierwszych, została uruchomiona polska wersja językowa. W krótkim czasie wielu osobom YouTube zastąpił telewizję, m.in. dzięki swobodzie w doborze tematów i możliwości ich dowolnej zmiany w każdym momencie. Większość treści skierowana jest do osób nastoletnich. Nic więc dziwnego, że rekordy oglądalności biją przede wszystkim osoby poniżej trzydziestu lat.

Wylęgarnia celebrytów

Do osób znanych na pewno zaliczamy piosenkarzy, aktorów czy polityków. Popularnością jednak cieszą się także youtuberzy. Jak doszli do sławy? Najpopularniejszy na świecie twórca działający na tym serwisie od 2010 roku to pochodzący ze Szwecji Felix Kjellberg, tworzący pod nickiem PewDiePie. Aktualnie mieszka w Anglii, ma 29 lat i ponad 90 milionów subskrypcji. Na jego kanale znajdziecie przede wszystkim rozgrywki z gier komputerowych, challenge typu „śmiejesz się – przegrywasz”, filmy komediowe i recenzje memów. Autor używa języka angielskiego, dzięki czemu treści, które przekazuje są zrozumiałe dla większej liczby osób. Zaraz po Felixie w rankingu prezentuje się kanał Dude Perfect, na którym piątka przyjaciół prezentuje ciekawe triki, takie jak rzucanie piłki z dużej odległości do poruszającego się kosza czy rzucanie przedmiotami, które lądują w konkretnych miejscach i pozycjach. Próbowaliście kiedyś, z odległości dwóch metrów, wrzucić butelkę do przegródki w lodówce, tak żeby stanęła pionowo? No cóż, to jeszcze nic. Chłopaki dokonują niebywałych rzeczy, które normalnie można by określić mianem „szczęśliwego trafu” i które często wręcz zapierają dech. Subskrybuje ich około 40 mln osób. To ogromna liczba, jednak do wyniku PewDiePie wciąż im daleko.

W Polsce na czele rankingu, razem z 4 mln subskrypcji stoi Błówek, a właściwie 22-letni Karol Gązwa. Nagrywa od 2011 roku, w którym rozpoczął swoją karierę grą w Minecraft. Aktualnie, podobnie jak PewDiePie, zajmuje się przede wszystkim challenge'ami (w efekcie na jego nosie czasem ląduje śmietana... albo coś innego), testami nietypowych przedmiotów lub robieniem czegoś niecodziennego, jak spędzanie nocy na ogromnym dmuchanym flamingu pośrodku jeziora. Charakterystyczne dla jego działalności jest to, że często nagrywa filmy razem ze swoją mamą, która po jakimś czasie sama założyła własny kanał o nazwie Mama Błowa i w niecałe 2 lata zdobyła 0,5 mln subskrybentów. Na drugim miejscu znajduje się Stuu – 27-letni chłopak z Wielkiej Brytanii, ➔



aktualnie mieszkający w Polsce. Zajmuje go podobna co Blowka tematyka.

Czasem prowokacja, czasem nauka

W odróżnieniu od poprzedników, trzeci w rankingu kanał charakteryzuje się przede wszystkim prankami i żartami ulicznymi. Sylwester Wardęga, tworzący pod nazwą SA Wardęga, słynie z filmu „Mutant Giant Spider Dog”, w którym przebrane za pająki psy wyskakują znikąd na przypadkowych przechodniów, po czym zaczynają ich „ścigać”. Dodatkowo Wardęga często prowokuje służby porządkowe. Wielu z nas pewnie kojarzy film, w którym zostaje on zatrzymany przez policję, ponieważ rozmawiał przez telefon w czasie prowadzenia samochodu. Jednak, gdy otrzymuje zarzut, nagle wkłada komórkę do ust i okazuje się... że trzyma w ręce ciastko, przypominające ją jedynie wyglądem. Oprócz materiałów rozrywkowych w serwisie YouTube możemy znaleźć także znane kanały popularno-naukowe. Takim jest emce², gdzie znajdziemy na przykład odpowiedź na pytanie „Dlaczego kichamy?” albo dowiemy się, z jakiego powodu powinniśmy jeść owady. A coś dla uczniów? Oczywiście! Istnieje wiele materiałów tłumaczących różnorodne zagadnienia naukowe. Od matematyki, przez biologię, aż po język polski.

Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o...

I wreszcie pieniądze. Czy można utrzymać się z nagrywania na YouTube? Tomasz Działowy, znany pod pseudonimem Gimper, twierdzi, że na jednym ze swoich kanałów za 1000 wyświetleń zarabia około 1 zł, na innym ponad 2 zł. Zależy to przede wszystkim od kategorii filmu (prawdopodobnie wyświetlane są inne reklamy) oraz jego długości (im dłuższy film, tym więcej reklam). Youtuberzy zarabiają także poza światem wirtualnym. Pieniądze przynoszą im spotkania z widzami, tzw. meet-upy oraz letnie obozy młodzieżowe. Twórcy wydają swoje książki, marki odzieżowe, a także otrzymują bezpośrednie dofinansowanie od fanów, którzy chcą wspierać ich rozwój. Blowek przyznaje w jednym ze swoich filmów, że z samego YouTube’a zarabia ok. 10–20 tys. złotych miesięcznie,

a doliczyć do tego należy wpływy ze współpracy reklamowej z różnymi markami. „Uważam, że to dużo, ale robię to już od siedmiu lat, sam na to zapracowałem. I jestem naprawdę dumny z tego, że jestem w tym miejscu, w którym jestem [...]”. Nie ukrywam, że gdy ja zakładałem kanał na YouTube, to nawet nie było mowy o jakimkolwiek zarabianiu pieniędzy. Przez większość czasu robiłem to totalnie za darmo, bo to była... jest moja pasja” – mówi Karol, chcąc przekazać, że nagrywanie tylko dla pieniędzy nie jest nic warte.

Prosto do biznesu?

Więc czy da się żyć z pieniędzy zarobionych przez działalność na YouTube? Z pewnością! Jednak to wcale nie jest takie proste, jak się może wydawać. Nie wystarczy przez 10 minut gadać do kamery albo robić z siebie błazna. Wbrew pozorom stworzenie jednego, parominutowego filmu tak, aby był dobrej jakości i stał się ciekawy dla siedzącego po drugiej stronie ekranu odbiorcy, jest bardzo czasochłonne i wymaga dużego zaangażowania. Mam tu na myśli godziny planowania, realizowania i montowania filmu. Nie każdy będzie w stanie przyciągnąć publikę, tak jak to robi Blowek czy Felix. Trzeba wiedzieć, co chce się przekazać widzom i włożyć w to całe serce. Istotne będą też kontakty.

Wraz z rozwojem i profesjonalizacją treści wideo publikowanych w Internecie, szukanie reklamodawców na własną rękę stało się wyzwaniem zbyt trudnym dla działających w pojedynkę youtuberów, w związku z czym ci najsukcesywniejsi łączą się w grupy, w ramach których twórcy nadal posiadają swobodę w zakresie swojej pracy kreatywnej, ale mogą poświęcić jej więcej czasu. Poszukiwaniem kontraktów sponsoringowych, np. z agencjami influencerskimi lub montażem gotowych już treści zajmą się za nich wyspecjalizowani w tym zakresie pracownicy grupy. Aby uzmysłowić skalę ich działalności, warto nadmienić, że największe grupy działające na polskim rynku generują przychody przekraczające 10 mln zł rocznie. Ale, kto wie, może warto spróbować? Może właśnie TY zostaniesz kolejną gwiazdą YouTube?

Lidia Kędra



Czy według Pana Wojsko Polskie potrzebuje młodych ludzi?

→ Oczywiście. Młodzi ludzie wnoszą dużo pomysłów i ciekawych rozwiązań, zwłaszcza w dobie rozwoju nowych technologii. Pomagają armii iść z duchem czasu.

Jak młodzi ludzie mogą do niego wstąpić? Jakimi drogami można zostać wojskowym?

→ Możliwości jest kilka w zależności od stopnia naszego zaangażowania. Po pierwsze, można zostać żołnierzem zawodowym. Czekają nas wtedy wybory między korpusem szeregowców, podoficerów i oficerów, z czego aby zostać podoficerem lub oficerem trzeba wybrać odpowiednią akademię wojskową. Nie jest łatwo dostać się do nich, trzeba zaliczyć pięć lat studiów. Jednak potencjalnie absolwenci akademii wojskowych osiągają wyższe zarobki niż szeregowcy. Ostatnio pojawiła się także opcja alternatywna w postaci obrony terytorialnej. Daje ona możliwość zaangażowania się w działalność wojskową, mimo że na co dzień wykonuje się inny zawód. Ostatnią drogą są wojska specjalne, gdzie najważniejsza jest sprawność fizyczna. Podczas rekrutacji do tych wojsk właśnie na testach sprawnościowych mamy największy przesiew kandydatów.

Co jest konieczne do rozpoczęcia tej pracy?

→ Najważniejsza jest postawa moralna, czyli przede wszystkim niekaralność i bycie dobrym człowiekiem. Drugą ważną rzeczą jest motywacja wewnętrzna, gdyż jest to zawód, który ogranicza nam pewne prawa, między innymi bierne prawo wyborcze. Po trzecie na pewno inteligencja, gdyż obrona kraju coraz częściej toczy się w cyberprzestrzeni. Ważne też jest bycie zdrowym, sprawnym fizycznie i psychicznie. Podstawą jest również znajomość języków obcych i to najlepiej również innych niż język angielski. Polecam, biorąc pod uwagę sytuację polityczną, rosyjski. Znajomość języków może się przydać zwłaszcza oficerom, bo daje możliwość dokształcania się w szkołach NATO-wskich i jest niezbędna do wyjazdów na misje.

Czy wyższe wykształcenie jest konieczne?

→ Jak najbardziej, zwłaszcza jeżeli ktoś ma dobry zawód po uczelni technicznej. Większość potrzeb wojska zaspokaja

O rekrutacji do armii i pracy w wojsku opowiada
Bartłomiej Słowikowski,
podpułkownik Wojska Polskiego.

jednak Wojskowa Akademia Techniczna, która jest politechniką wojskową. Natomiast osoby z innym wykształceniem technicznym również mogą się przydać, zwłaszcza informatycy.

Czy przydatne będą wcześniej nabyte umiejętności i uzyskane certyfikaty?

→ Dla zwykłego żołnierza przydatne będzie przede wszystkim prawo jazdy i to różnych kategorii, np. A, B lub C, E. Takie osoby traktowane są priorytetowo, ponieważ większość samochodów i ciężarówek wojskowych przekracza limit 3,5 tony. Podobnie przydatne są kursy spadochronowe, wspinaczka wysokogórska, nurkowanie. Ogólnie uprawianie sportów jest pożądane, ponieważ uczy dyscypliny i systematyczności.

Jak wygląda typowy dzień w służbie szeregowca i oficera?

→ Dzień szeregowca rozpoczyna się od przyjazdu do pracy na godzinę 7:30 i przygotowania do zajęć. Około 8:00 odbywa się apel, a po nim wyjście na ćwiczenia. Zajęcia mogą mieć formę stacjonarną, np. sanitarne, łącznościowe, a nawet kształcenie obywatelskie i nauka historii Polski. To wszystko zależy od grafiku zajęć. Mogą to też być typowe zajęcia taktyczne, czyli wyjście do ośrodka szkoleniowego i realizacja różnorodnych ćwiczeń do godziny 14. Potem jest apel popołudniowy, obiad i odprawy. Oficerowie natomiast rozporządzają grafikami i zajmują się elementami logistycznymi, np. analizując, jakie środki są potrzebne, aby upożyczyć pole walki. Często sami takie zajęcia prowadzą. Poza tym są jeszcze wyjazdy na poligony trwające około dwa/trzy tygodnie. Wówczas obowiązuje dobowy rozkład zajęć, uwzględniający ćwiczenia dzienne i nocne.





➔ Czy obecnie w wojsku występuje zjawisko tak zwanego „kotowania” bądź „fali”?

➔ Myślę, że nie. Nie spotykałem się z tym zjawiskiem od 2002 roku i nie słyszałem o tym, żeby popularne były jakieś dowcipy.

Czyli można powiedzieć, że zjawisko to zniknęło wraz z armią poborową?

➔ Tak, w tym momencie mamy armię zawodową i ulega ona coraz większej profesjonalizacji. To tak, jak w firmie prywatnej, nowa osoba często uczy się od starszych kolegów, ale nie ma to formy znęcania się nad nią.

Czy praca wojskowego jest dochodowa?

➔ Zarobki można zobaczyć w Internecie. Moim zdaniem jest to płaca na stabilnym poziomie. Pensja sięga powyżej średniej krajowej, ale to też zależy od stopnia wojskowego i kwalifikacji, gdyż jest bardzo wiele czynników, które na to wpływają. Na przykład są jednostki, które z pewnych względów zarabiają lepiej od pozostałych, chociażby oddziały specjalne. Trzeba też pamiętać, że jest to praca na etacie, pieniądze dostajemy od państwa. Są zatem pewne ograniczenia płacowe. Z drugiej jednak strony nie musimy się przejmować tak bardzo jak np. właściciel firmy, który ponosi ryzyko związane z inwestycjami oraz musi być dwadzieścia cztery godziny na dobę w pracy.

Poza zarobkami są jeszcze jakieś inne zalety tej pracy?

➔ Przede wszystkim satysfakcja i pewien prestiż społeczny. Spotykam się głównie z pozytywnym odbiorem tego, czym się zajmuję. Na pewno dużym profitem jest możliwość poznania ciekawych osób i zwiedzenia wielu krajów.

Słyszałem o mieszkaniach. Czy wojskowi je dostają?

➔ Tak. Żołnierze dostają mieszkania, ale nie od razu. Na początku otrzymuje się ekwiwalent za brak kwatery, to jest kwota między 700 a 900 złotych. Zależy on od jednostki, w której dany żołnierz służy. Na pewno jest to pomocne dla młodych ludzi, którzy często mają problem ze znalezieniem mieszkania.



Jakie cechy powinien mieć według Pana idealny kandydat?

➔ Kandydat musi być przede wszystkim odporny na stres i opanowany. Do tego jeszcze uczciwy, inteligentny i mający szacunek dla innych. Bardzo mile widziany jest też patriotyzm i chęć służby ojczyźnie.

Czy w Krakowie są miejsca, gdzie można się zgłosić?

➔ XXI wiek jest dobą Internetu, dlatego warto wejść na strony jednostek wojskowych. Znajdziemy tam często zakładki typu „Zostań żołnierzem zawodowym”, „Założ czerwony beret” – w przypadku krakowskiej szóstej brygady – oraz bardzo wiele pożytecznych informacji dotyczących procesu rekrutacji.

Co doradziłby Pan młodym ludziom rozwijającym się w tym kierunku?

➔ Po pierwsze – nie zrażać się niepowodzeniami. Często nasze oczekiwania po wstąpieniu do wojska są trochę inne od rzeczywistości. Niestety praca ta nie jest tylko „ciastkiem”, jakby to chcieli uważać entuzjaści militariów, czasem bywa też „chlebem”. Niektóre dni bywają monotonne przez wykonywanie tych samych, nudnych obowiązków. Często też uczestniczymy w ćwiczeniach, gdzie np. kilka dni spędzamy w śniegu, błocie czy innych niesprzyjających warunkach. Mimo to, jeżeli ktoś jest wytrwały i ma motywację, to z pewnością poradzi sobie i w końcu zobaczy to „ciastko”.

Rozmawiał Bartek Hałatek



Bohemian Rhapsody

Historia prawdziwa (?)

Dawno, dawno temu w odległej krainie zwanej Wielką Brytanią żył Freddie Mercury – człowiek legenda. „Wydawał się kochać i rozkoszować się miłością i uwielbieniem tłumu” – pisał o nim w swoim ostatnim liście Kurt Cobain. „Jeśli chodzi o teatralność w muzyce rozrywkowej, to Freddie Mercury doszedł do samej krawędzi” – powiedział o nim David Bowie. Ale co sprawiło, że twórczość Queen tak mocno wbiła się w krwiobieg kultury masowej?

Muzyka, która zostaje

W ubiegłym roku w ścisłej czołówce najlepiej sprzedających się winyli znalazł się krążek z kombinacją największych przebojów Queen. A minęło już ponad ćwierć wieku od śmierci niezwykle charyzmatycznego wokalisty! Należy więc stwierdzić, że muzyka Queen jest ponadczasowa. Myślę, że jest więcej „ponad”, które można by jej przypisać. Nieważne, ile ktoś ma lat i czy słucha na co dzień popu, metalu czy muzyki ludowej, i tak pewnie będzie klaskał i tupał w rytm piosenki „We will rock you”...

Jakie wartości składają się na fenomen muzyki Queen? Może to, że przeplatają się w niej kultura wysoka (inspiracje operą) i popularna (muzyka pop)? A może to, że teksty i melodie są proste i niezwykle chwytliwe? Muzycy z Queen czerpali inspiracje z hard rocka, ale także z kultury klasycznej i orientalnej. Duży wpływ na stworzenie legendy zespołu miały niesamowite koncerty na żywo. No i oczywiście awangardowy wokalista. Kim mógł być człowiek, który powiedział „Nie chcę iść do nieba! W piekle można spotkać ciekawszych ludzi”? Jedno jest pewne – muzyka Queen nie jest ani czasowym hitem, ani przechodzącą fascynacją. Jest muzyką na wieczność, przebojem wszech czasów.

Mercury to filmowy temat

Muzycy i ich życie, ich wzloty i upadki są tematyką często wykorzystywaną przez dziesiątą muzę – kino. Pewnie dlatego, że gwiazdy świecą jasno i krótko, a ich upadki są bolesne i dramatyczne. Wśród panteonu rockowych sław także Freddie Mercury doczekał się filmowej opowieści o swoim życiu – „Bohemian Rhapsody”.

Zainteresowanie filmem było duże, można nawet powiedzieć ogromne. Tylko w premierowy weekend w Polsce film obejrzało ponad 160 tysięcy ludzi! Dla części widzów był to „oscarowy pewniak”. Z drugiej strony wielu uważało film „Bohemian Rhapsody” za prostą, trywialną bajeczkę – ładną, ale pełną niedociągnięć. Nie da się ukryć, że film zgarnął aż cztery Oscary. Ale również trudny do pominięcia jest fakt wystąpienia pewnych błędów w produkcji.

Uwaga spojlerzy!

Rzeczą chyba najbardziej widoczną jest to, że utwory Queen w opowieści filmowej są wykonywane w nieodpowiednich momentach historii, czasem wtedy, gdy w rzeczywistym czasie jeszcze nawet nie powstały. Na trasie koncertowej po Stanach Zjednoczonych muzycy grali utwór „Fat Bottomed Girls”, który jeszcze wtedy nie istniał. Znajdziemy i inne błędy chronologiczne. AIDS u wokalisty zespołu zdiagnozowano w 1987 roku, filmowy Mercury mówi o chorobie kolegom z zespołu już dwa lata wcześniej, bo w 1985. Już na pierwszym koncercie zespołu basistą jest w filmie John Deacon. W rzeczywistości był on dopiero czwartym basistą grającym z Queen.

„We will rock you” powstało w czasie, w którym Freddie Mercury nosił długie włosy i nie posiadał wąsów.





→ Takiego wokalistę, w ekscentrycznych okularach, możemy zobaczyć choćby w nagraniu do piosenki zamieszczonym w serwisie YouTube. Natomiast „Bohemian Rhapsody” ukazuje krótkowłosego wścicha śpiewającego „Buddy, you’re a boy make a big noise...”. Ponadto filmowa wersja Mercury’ego ma oczy zielononiebieskie, tak różne od tamtych autentycznych – piwnych.

Wokalista na ławie oskarżonych

Twórcy filmu z jakichś powodów postanowili obwiniać solową karierę wokalisty za rozpad zespołu. Podczas gdy inni członkowie także realizowali solowe projekty! Brian May stworzył „Star Fleet Project”. Natomiast Roger Taylor wydał dwie solowe płyty: „Fun in Space” oraz „Strange Frontier”. Chyba największym przekreśleniem w filmie jest sugestia, że grupa rozpadła się po podpisaniu kontraktu przez Mercury’ego na realizację solowej płyty i muzycy nie widzieli się przez kolejne lata.

W filmie pojawia się niejaki Ray Foster. Jest on człowiekiem z przemysłu muzycznego, niecierpiącym utworu „Bohemian Rhapsody”. Namawia on członków grupy do grania muzyki o charakterze bardziej komercyjnym. Ciekawe, bo ktoś taki jak Ray Foster nawet nie istniał...

W filmie Brian May oraz Roger Taylor poznają Freddiego Mercury’ego w 1970 roku. Zaraz po odejściu z ich zespołu Smile

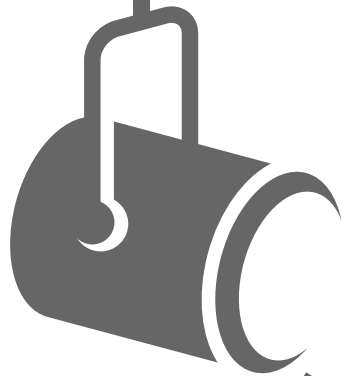
wokalisty, co wydaje się niezwykle zbiegiem okoliczności. Ogólnie po obejrzeniu filmu można mieć wrażenie, że nie ma nic prostszego niż zostanie rockową legendą. Tak naprawdę muzycy znali się już od końca lat 60. Studiowali razem w Ealing Art College. Roger Taylor i Freddie Mercury ponadto pracowali razem w sklepie z ubraniami. Późniejszy wokalista Queen był wielkim entuzjastą zespołu Smile. Według wspomnień Briana Maya mężczyźni ich proszami o przyjęcie do zespołu.

Ugrzeczniiona bajeczka dla mas

Jeśli ktoś chciałby poznawać wnikliwie historię zespołu, trudno uznać „Bohemian Rhapsody” za wiarygodne źródło. Z drugiej strony film miał niezwykle potencjał komercyjny. I chyba tak należy go traktować – jako obraz nastawiony na przypodobanie się szerokiej publice. Mam wrażenie, że wszelkie kontrowersyjne tematy zostały jedynie napomknięte tak, by wszystko ułożyło się w ładną, gładką i grzeczną bajeczkę. Miałam również poczucie, że twórcy filmu postanowili kreować Mercury’ego na syna marnotrawnego, a ponieważ baśniowe „i żyli długo i szczęśliwie” lub hollywoodzkie „i byli wiecznie młodzi i bogaci” nie było możliwe, film kończy się moralnym happy endem. A co o tym mógłby powiedzieć tamten niepokorny, kontrowersyjny, fascynujący tłumy człowiek? Co myślałby autor słów: „Kompromis nic dla mnie nie znaczy. Daję wszystko, co mam, bo taki już jestem”?

Zuzanna Bober





Światła rampy, *flesza blask*

Scena, światła i akcja!
Blask jupiterów, oklaski widowni,
kurtyna. Wszystko spowite urokliwą magią.

Dla Patryka zabawa w teatr zaczęła się nietypowo. Po obejrzeniu spektaklu jedna z asystentek spytała, czy nie chciałby sam spróbować swoich sił. Spróbował, zapisał się na zajęcia... i pokochał to. Jest przeciętnym chłopakiem – licealna klasa, dużo nauki, randki. Mimo to znajduje czas, by nawet kilka razy w tygodniu ćwiczyć grę aktorską. Należy do szkolnego klubu teatralnego w swoich rodzinnych Staniątkach. Obecnie przygotowuje się do dwóch różnych spektakli, w których kreuje zupełnie różne postacie. – To wyzwanie, ale też super zabawa. Przez częste próby miałem małe zaległości w matematyce, przez co rodzice poprosili, abym nie grał kolejnego spektaklu. Ale od września wracam na scenę – opowiada.

Szansa na sukces?

Czy szkolny teatr daje szansę na wybitcie się? Tak. Wystarczy trochę samozaparcia i... odrobina szczęścia. Najważniejsze to uzbroić się w cierpliwość. Nie od razu nowy aktor dostaje główne role. Choć kto wie, co wymyśli reżyser... Nawet tak proste zadania jak statystowanie pomaga obyc się z pracą na planie, oswoić z kamerą i co najważniejsze – poznać wpływowe osoby. Dodatkowo młodzi aktorzy zdobywają doświadczenie i na kolejnym castingu ich szanse rosną.

Godziny na planie

Ada dobrze czuje się przed kamerą, nie boi się wyzwań. Za namową koleżanki poszła na casting. Kilka razy statystowała, a już po trzech miesiącach dostała małą, epizodyczną rolę. Wydawałoby się, że to nic, ale... od takich ról zaczynała choćby Agnieszka Dygant. Jedyną męczącą rzeczą są długie godziny na planie. – Czasem po prostu siedzisz, przechodząc od czasu

do czasu z jednego kąta w drugi – śmieje się Ada. – Mimo to potem zostaje satysfakcja. Nie tyle z zarobionych pieniędzy, co z zobaczenia siebie w telewizji. Praca na scenie czy przed kamerą uczy prawidłowej dykcji, pewności siebie, pracy w grupie. Pomaga też zrozumieć samego siebie, odkryć pokłady nieśamowitej i bardzo pozytywnej energii. A jeśli dodać do tego paczkę przyjaciół i satysfakcję z udanego spektaklu – warto się trochę pomęczyć.

I śmiech, i łzy

Bracia Wojtek i Michał chcieli znaleźć interesujące zajęcia pozalekcyjne w swojej szkole. Szukali wyzwania. Właśnie w tym czasie zaczęło się formować szkolne koło teatralne, które prowadzi aktor Teatru Ludowego Jarosław Szvec. Postanowili spróbować i zapisali się na zajęcia. Od dwóch lat grają w kolejnych sztukach. Zaczynali w komedii, klasycznej sztuce Moliera. Kolejnym wyzwaniem była „Antygona”.

Ula lubi nowe wyzwania. Postanowiła zapisać się do agencji poszukującej nowych telewizyjnych twarzy. Pewnego dnia dostała propozycję zagrania w „Szkołę”. Ze względu na zdjęcia czasami musi się zwolnić z lekcji, ale jak mówi: – Mimo długiego nagrywania, średnio od 7 rano do 21, warto. Można poznać fajnych ludzi i świetnie bawić się na planie. Kamera i scena nie gryzą. Nie trzeba mieć skończonej szkoły czy profesjonalnego kursu, aby zabłysnąć. Kilka lekcji poprawnej wymowy, pewność siebie i uśmiech otwierają wiele drzwi. Te do sławy również.

Klaudia Piotrowska



Geniusz od niechcenia: *Quentin Tarantino*



Człowiek bez wykształcenia, bez matury – a jednak światowej sławy reżyser, podziwiany za oryginalność stylu. Jak tego dokonał?



Co zrobić, jeśli chcesz kręcić filmy, a nie masz pieniędzy? To proste: wystarczy, że usiądziesz przy klawiaturze i napiszesz dwa genialne scenariusze. Sprzedasz je, a uzyskane pieniądze przeznaczysz na produkcję swojego filmu. W ten właśnie „prosty” sposób wybił się Quentin Tarantino. Szkołę porzucił w wieku 16 lat i zaczął pracować jako bileter w kinie „dla dorosłych”. Potem zatrudnił się w wypożyczalni filmów. Dzięki tym zajęciom poznał kinematografię i stworzył kilka rewelacyjnych scenariuszy.

Bagażnik, stopy, taniec i tortury

Czym jest styl Quentina Tarantino? Po obejrzeniu kilku filmów tego reżysera nietrudno zauważyć dużą powtarzalność motywów: ujęcia z bagażnika, torturowanie (na przykład połączone z tańcem oprawcy, jak w filmie „Wściekłe psy”) albo taniec po prostu – to znaki firmowe Tarantino. Kolekcję dopełniają stopy. Bohaterowie (a raczej bohaterki) często chodzą boso, tańczą boso – nagie stopy są wszechobecne. Do tego należy dorzucić sceny erotyczne oraz wyjątkowo brutalne i krwawe sceny walki. Cała mieszanka okraszona jest czarnym humorem połączonym oczywiście z sarkazmem. Jednak istotą filmów Tarantino bynajmniej nie są bliskie ujęcia stóp ani tym bardziej brutalne tortury. Kto wtedy zechciałby oglądać jego filmy? Klucz do sukcesu tkwi gdzie indziej...

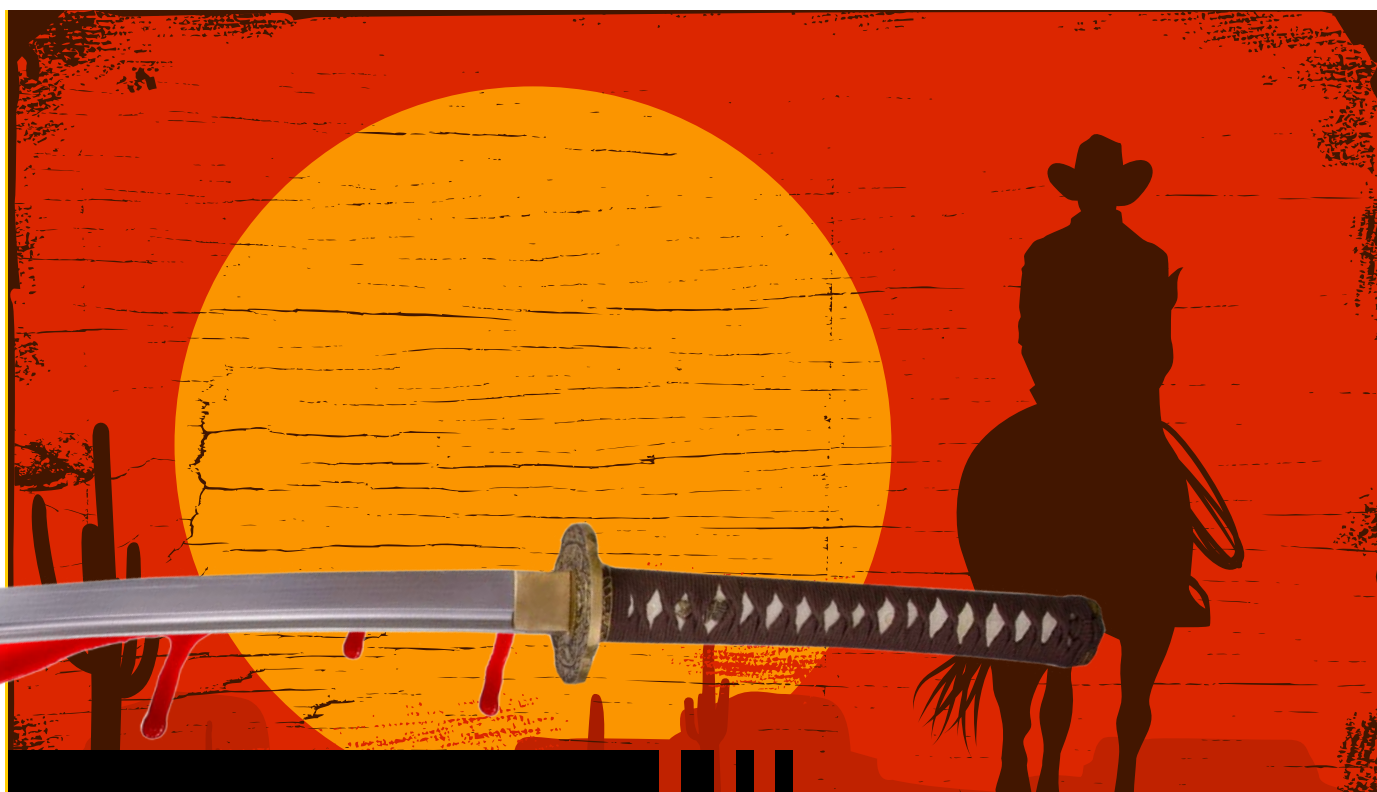
Tarantinowskie dialogi

Dwóch facetów w tanich garniturach, z czarnymi wąskimi krawatami siedzi w małym samochodzie. Jadą dokąds i rozmawiają o rodzajach cheeseburgerów. O tym, jakie są różnice pomiędzy burgerami ze Stanów i Holandii. Tak zaczyna się jedna z pierwszych scen „Pulp Fiction” (1994). Ten dialog trwa dobrych parę minut – a widz cały czas trwa przy ekranie...

Czyżby zaciekał go nagle temat burgerów? Otóż na tym właśnie polega magia kina – filmy przyzwyczały nas do tego, że są ciekawe. Ufamy twórcom, że przygotowali dla nas ciekawy seans. Słuchamy z zaciekawieniem rozmowy o fast foodzie, bo nie możemy się doczekać, co będzie dalej. I chcemy dowiedzieć się, dlaczego mężczyźni właśnie o tym rozmawiają... (Ale bez spojlerów, zachęcam do obejrzenia filmu.) Dodam jeszcze, że później rozmowa schodzi na temat masażu – a jakże – stóp. Geniusz Tarantino polega tym, że każda, wbrew pozorom nawet nieistotna, scena ma swój wpływ na dalszą akcję.

Ale jak on to robi?

Oczywiście – widz jest bardzo wybredny a jego uwaga niezwykle cenna. Utrzymanie jej przez długi czas na błahym temacie nie jest możliwe bez wyśmienitej gry aktorskiej oraz pewnej szkoły montażu – metodzie hollywoodzkiej ciągłości montażowej. Aby zachować ową ciągłość, reżyser musi dbać o każde ujęcie, przeanalizować pod kątem uwagi widza każdą pojedynczą „sklejkę”. Przez lata rozwoju kinematografii wytworzył się pewien kanon, zbiór zasad, dzięki którym powstaje poprawnie wykonany film. Dla przykładu – nie powinno się łączyć ze sobą ujęć nagranych w podobnym planie: jeśli po ujęciu w planie amerykańskim nastąpi kolejne takie same ujęcie, to widz może mieć wrażenie nienaturalnego „przeskoku”. Wtedy nagle przypomina sobie, że jednak akcja nie dzieje się naprawdę i to tylko film... Jest zawiedziony. Istnieje dużo więcej zasad, dotyczą one między innymi położenia obiektów/postaci w kadrze, kierunku ruchu w kadrze czy też osi ujęcia (nie powinno się za pomocą cięcia przekraczać tej osi kamerą, bo otrzymuje się wtedy taki efekt, jakby nagle twarz aktora zmieniła się w twarz jego rozmówcy). Choć zasad jest wiele, króluje wśród nich jedna: „zasady są po to, żeby je



łamać". Twórcy poszukują nowych rozwiązań i eksperymentują. Chociaż Quentin Tarantino często stosuje się do zasad, jego filmy znacząco różnią się od przeciętnych produkcji z ciągłością montażową. Trzeba wiedzieć, że z pozoru błahe – ale za to niezwykle absorbujące – dialogi oraz zestaw tarantinowskich motywów to zewnętrzny efekt czegoś głębszego. Otóż Tarantino jest uważany za jednego z głównych przedstawicieli postmodernizmu filmowego.

Co to jest postmodernizm?

Blondynka, ubrana w odblaskowy żółty kostium motocyklisty, ściska w ręce japońską katanę wykutą z najtwardszego – spośród tych najtwardszych – metalu. Jej twarz zastyga w wyrazie zimnej determinacji. Naprzeciw niej Japonka w tradycyjnym stroju. Obydwie stoją w oprószonym śniegiem ogrodzie. W tle latynoska muzyka dyskotekowa... (Bez spoilerów, zachęcam do obejrzenia filmu „Kill Bill”.) Tarantino bawi się mieszkankami kulturowymi, tworzy absurdalne sytuacje, ironizuje, a wszystko to na gruncie postmodernizmu. Przedstawiciele tego nurtu uważają, że tradycyjne wartości się wyczerpują, podważają wiarę w oddziaływanie sztuki na ludzkość i w ogóle wiarę w cokolwiek. Oddają się za to żartom i kwestionowaniu rzeczywistości. Podłożem filozofii postmodernistycznej są między innymi egzystencjalizm, marksizm oraz feminizm. W sztuce postmodernizmu owocuje to czarnym humorem, dystansem do aktorów i fabuły, oraz (w przypadku Tarantino) mocnymi, wręcz niekiedy przesadzonymi scenami. Innymi twórcami w tym nurcie są Bracia Coen oraz David Lynch.

Bohaterowie Quentina

Jak na scenarzystę, który został reżyserem, przystało, bohaterowie, których tworzy Tarantino, należą do niezwykle

wyrazistych. W jednym z wywiadów zażartował, że czasem rozmawia ze swoimi bohaterami. Dziwi się przy tym, jak ostre i sarkastyczne mają odpowiedzi. Reżyser często współpracuje z pewnymi aktorami podczas kręcenia kilku różnych filmów. Do tego grona należy z pewnością Christoph Waltz. Zagrał on w „Django”, kreując bezwzględного łowcę nagród oraz w „Bękartach wojny” – nazistowskiego oficera odpowiedzialnego za mordowanie Żydów. Waltz tworzy w tych filmach postaci cechujące się niesamowitą nonszalancją, a także błyskotliwością i brawurą w działaniu. Dr King Schultz z „Django” jest w stanie z zimną krwią, w biały dzień i na środku ulicy zastrzelić człowieka. Po owym uczynku bohater niewzruszenie zasiada ze swoim niewolnikiem (tytułowym Django) przy kuflu zimnego piwa, oczekując na szeryfa. Bohaterowie opisywani na kartach scenariuszy Tarantino nierzadko prezentują podobny zestaw cech (jak brutalność i czarny humor). Pomimo podobieństw każdy z nich jest wyjątkowy dzięki wydarzeniom, w jakich uczestniczy. Jednakże, aby poczuć, na czym polega fenomen bohatera u Tarantino, trzeba po prostu zobaczyć jego filmy.

Filmy Quentina Tarantino ogląda się bardzo przyjemnie (po pewnej ilości minut spędzonych z reżyserem nawet nadmierna ilość krwi na ekranie nie jest w stanie tego zepsuć), bo mają wyjątkowo spójną narrację. Jednak trzeba stwierdzić, że ta twórczość nie niesie za sobą głębszego przesłania. Trudno się dziwić – wszak przesłaniem postmodernizmu jest brak przesłania.

Janek Skowronek



Daleka wyspa

gejzerów i wulkanów

*Na Islandię przyciąga dzikość:
dziewicze gejzery, wodospady
i zamrożone jeziora.*

*Turystyczne „hity” rozsiane są
po całym kraju.*

Atrakcją Islandii są wybuchy gejzerów. Gorące źródła, z których co pewien czas wydobywa się woda i para, robią wrażenie. Islandia ma ok. 250 terenów z gorącymi źródłami. Większych źródeł jest ok. 800, małych aż kilka tysięcy. Ich średnia temperatura wynosi ok. 75°C. Od źródeł pochodzą nazwy miejscowości. Nazwy z końcówką **-kver** oznaczają miejscowość, w której znajdują się gorące źródła, końcówka **-lang** mówi, że w tym rejonie, oprócz gorących źródeł, są też kąpieliska. Najpopularniejszy teren gorących źródeł to Haukadalur. Gejzery są położone blisko siebie i ogrodzone zwykłą liną. Przed wejściem na niebezpieczną atrakcję widnieje znak zapisany po angielsku „wchodzisz na własną odpowiedzialność”. Gejzery są bardzo gorące, a ich wybuch podnosi temperaturę wody nawet do 100°C. Często przypominają przeźroczyste okrągłe jeziora, nad którymi unosi się para. W tych jeziorach zazwyczaj znajduje się dziura w głąb ziemi. Kiedy wchodzimy na teren gejzerów, odczuwamy wyższą temperaturę powietrza, a zapach siarki aż drażni nasze nozdrza.

Gorące źródła dają moc

Przed wyprawą na Islandię byłam przekonana, że turkusowo-błękitna woda znajduje się tylko w krajach tropikalnych. Jednak w środku rozległych pól lawowych znajdują się naturalne baseny termalne Islandii. Swoją barwą oraz mocą przyciągają nie tylko turystów, ale również miejscowych. Wysoko nad basenami unosi się para wodna. Do uzdrowiska prowadzi szczelina w skałach wulkanicznych. Im bliżej, tym intensywniejszy jest zapach siarki. Kiedy dojdziemy na miejsce docelowe, zobaczymy małe „baseniki” z turkusowo-białą wodą. Islandczycy uważają, że tutejsze baseny termalne posiadają moc, dzięki której są silni, młodzi oraz zdrowi. Podobno sami wikingowie kąpali się w wodach termalnych, by zachować siłę do końca swoich dni. Swoją przygodę na Islandii zaczęłam właśnie od basenów Blue Lagoon, które są uznawane za najbardziej popularną atrakcję wyspy. By móc wejść do uzdrowiska, trzeba wcześniej zarezerwować termin. Wejściówka obejmuje cały dzień w kurorcie oraz dodatkowe akcesoria, takie jak szlafroki. Spa jednak nie należy do najtańszych. Najniższa cena wejściówki, przy wcześniejszej rezerwacji, wynosi około 218 zł.

Zimowy wiatr

Kraje nordyckie były dla mnie nową przygodą. Są to dosłownie „kraje północne”. Należą do nich kraje skandynawskie (Norwegia, Szwecja i Dania) oraz Islandia i Finlandia. Islandia należy do najpóźniej zasiedlonych obszarów Europy, pierwsi osadnicy pojawili się tu dopiero w 874 roku.

Pierwszą myślą, która przebiegła mi przez głowę była „zima”. Dlatego moja walizka głównie składała się ze swetrów i grubych skarpet. Jak się później okazało, niska temperatura nie była wcale problemem. Największą przeszkodą stał się wiatr. Podczas godzinnej jazdy zaobserwowałam cztery różne pory roku. Od ulewnej jesieni po słoneczne lato. Temperatura powietrza może wynosić 8°C, ale za sprawą wiatru może być odczuwalna jako nawet o 6 stopni niższa.

Fot. Wiktorja tyko





Buty, kurtki i islandzka wełna

Podstawowymi przyborami, które musimy wziąć na Islandię są rękawiczki, gruba czapka oraz trekkingowe buty z grubą podeszwą, sięgające za kostkę. Zwiedzanie Islandii jest trudne, ponieważ każda wyprawa jest uzależniona od pogody. Zima nie pozwala turystom na dotarcie do większości atrakcji po drugiej stronie wyspy. Szlaki o tej porze roku są bardzo niebezpieczne, a czasami nawet niemożliwe do pokonania. Większość dróg jest pokryta grubą warstwą lodu, co uniemożliwia dotarcie do celu samochodem. Najgorszym wspomnieniem, które zapadło mi w pamięć, było to, gdy nasz samochód podczas śnieżyicy został zepchnięty przez wiatr z autostrady. Samochody islandzkie są jednak przystosowane do takiej pogody. Opony posiadają dodatkowe zabezpieczenie, coś w rodzaju metalowych stożków, które utrzymują pojazd na ziemi. Zauważyłam, że policjanci są ubrani w bardzo grube kurtki, islandzkie swetry oraz kominiarki.

O swetrach warto powiedzieć więcej. **Lopapeysa** to robiony na drutach sweter z islandzkiej wełny. Jest wyjątkowa, ponieważ posiada taką kombinację włókien, która nie występuje nigdzie indziej na świecie oraz u żadnych innych owiec. Włókna zewnętrzne są długie, błyszczące, twarde i wodoodporne, natomiast wewnętrzne są delikatne, miękkie i izolujące, co zapewnia wysoką odporność na zimno. Niestety cena takiego swetra mieści się w granicach 900 zł.

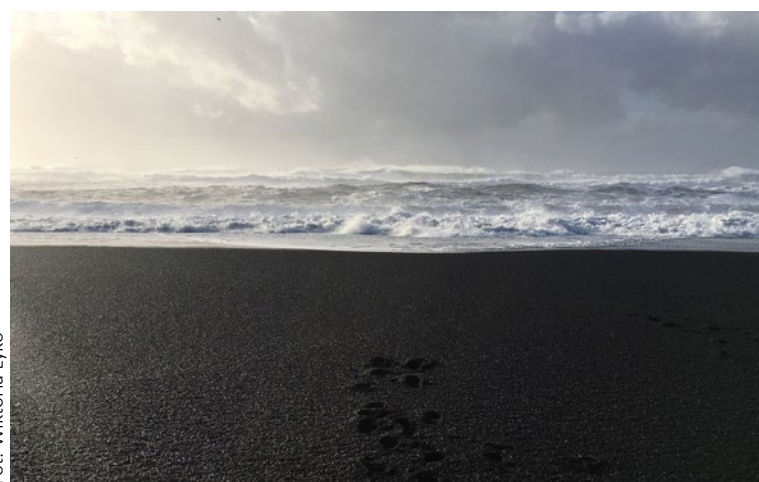
Gullfoss – złoty wodospad

Islandia słynie wyłącznie z geologicznych cudów natury. Na wyspie występuje tylko jedna zadziwiająca architektura budowla – Hallgrímskirkja (dosłownie „kościół Hallgrímura”), który wygląda jak „betonowa rakietka”. Budynek w żaden sposób nie przypomina europejskiego, chrześcijańskiego kościoła. W środku jest pusty, a ołtarz składa się wyłącznie ze „stołu”. Kościół ma nawet puste, przejrzyste okna. Kolorowe domy w Reykjavíku, jak się później okazało, są pstrokate, bo taka farba jest najtańsza. Domy malowane są co roku po zimie. Za to piękno Islandii wyrażają wodospady. Znajdują się one w każdym zakątku. Często ukryte, sprawiają wrażenie, że dopiero je odkryto. Największy wodospad na Islandii to Gullfoss. W tłumaczeniu jego nazwa oznacza „złoty wodospad”. Składa się z dwóch kaskad. Pierwsza mierzy 11 metrów, druga 21 metrów. W każdej sekundzie przepływa przez niego 400 metrów sześciennych wody. Wodospad, przez turystów nazywany „małą Niagarą”, znajduje się na pustej, śnieżnej pustyni.

Ślizgiem do wodospadu

W zimie zwiedzanie wodospadu jest niebezpieczne – szlaki są pokryte lodem. Podczas mojego wyjazdu droga na punkt widokowy była całkowicie zamarznięta. Zwiedzający przede mną ślizgali się, czasami nawet wywracali. Droga nie wyglądała przystępnie. Z jednej strony lina i skały, z drugiej lina i skarpa. Islandczycy nie troszczą się o turystów. Dopiero po powrocie do Polski dowiedziałam się, że na stacjach benzynowych na

Islandii można kupić specjalne nakładki na buty z małutkimi metalowymi kolcami, dzięki którym mają lepszą przyczepność. Podczas mojej wyprawy przekonałam się, że mieszkańcy często narzekają na przyjezdnych. Podczas zimy nierzadko nie zwracają oni uwagi na ostrzeżenia. Byłam świadkiem, jak azjatyccy turyści jeździli po równinie wulkanicznej samochodem. Szczęśliwie tamtejsi policjanci zauważyli tę sytuację. Wjazd na pole z pyłem wulkanicznym skutkowało bardzo drogim mandatem lub przywróceniem „uszkodzonej rzeczy” do poprzedniego stanu. Ostatecznie turyści chodzili po polu, zakopując dziury, które zrobił samochód. Wyglądało to bardzo zabawnie.



Fot. Wiktoria Łyko

Czarna plaża

Jedną z atrakcji „must see” na Islandii jest Czarna Plaża Reynisfjara. Wyróżnia się tym, że w przeciwieństwie do innych plaż, posiada okrągłe, przypominające kaszę gryczaną, kamyczki wulkaniczne. Najciekawszą jej cechą jest naprawdę niesamowity kolor. Kamyczki przy zachodzie słońca są ciemne jak smoła. Nazwa **Reynisfjara** pochodzi od pobliskiej góry o nazwie Reynisfjall. Po islandzku „fjall” to góra, a „fjara” to plaża. Wiedząc to, możemy łatwo zgadnąć, że większość nazw na Islandii zakończonych na **-fjara** doprowadzi nas nad wodę, a kończących się na **-fjall** – na wzniesienie. Warto dodać, że sama góra powstała po wybuchu wulkanu w epoce lodowcowej. Swoim kształtem klif może przypominać nieregularne, wysokie schody do szczytu góry. Plaża słynie z silnych fal morskich. Pokazują one niebezpieczny żywioł morza. Fale są silne i nieraz podmyły całą plażę. Przekonała się o tym moja pozująca do zdjęcia koleżanka. Została zmoczona przez falę, gdy nieostrożnie obróciła się tyłem do morza. Fala dotknęła „tylko” jej nóg. Przez resztę dnia siedziała zawinięta w koc w samochodzie, w klapkach i rajstopach. Wiatr, który wieje wyjątkowo mocno przy morzu, sprawia, że turyści mają wrażenie, że są świadkami sztormu. Przed wejściem na plażę znajduje się znak ostrzegawczy, informujący o śmierci turystów, których porwały fale.



Akta w sprawie ACTA

*O co chodzi w dyrektywie unijnej
o prawach autorskich na jednolitym
ryнку cyfrowym, określanej przez
niektórych jako ACTA 2?*

Cenzura przewencyjna i zagłada Internetu – krzyczą jedni. Ochrona interesu twórców i dostosowanie sieci do nowych czasów – wołają drudzy. Pora wyciągnąć akta z szafy i dowiedzieć się, o co właściwie w tym wszystkim chodzi. Śledztwo jest trudne, bo oparte jedynie na nikłych poszlakach i wrózeniu z fusów. Jeśli mamy jednak na sali odważnych, zapraszam na ławę przysięgłych. Oskarżona – ACTA 2 – zajęła właśnie swoje miejsce.

Na początek garść niezbitych faktów. Nazywają ją ACTA 2. Jej poprzedniczka pochodzi sprzed kilku lat. W 2012 roku Unia Europejska próbowała przeforować wprowadzenie w życie porozumienia ACTA – (Anti-Counterfeiting Trade Agreement), czyli umowy handlowej dotyczącej zwalczania obrotu towarami podrabianymi. Wtedy się nie udało. Temat wywołał ogromne kontrowersje. Nowe przepisy spotkały się z masowymi protestami internautów, obawiających się (skądinąd bardzo słusznie) znacznego ograniczenia wolności w Internecie. Wprowadzenie nowego prawa trzeba było odłożyć. Temat regulacji funkcjonowania Internetu powrócił jednak znów w ubiegłym roku. Tym razem pod postacią dyrektywy dotyczącej praw autorskich na jednolitym rynku cyfrowym, którą czujni internauci ochrzczili nie inaczej jak właśnie ACTA 2. 26 marca tego roku Parlament Europejski poparł nową dyrektywę, a w połowie kwietnia została ona przyjęta przez państwa członkowskie UE.

Nowe przepisy stały się więc faktem. ACTA 2 będzie musiała wejść w życie. A o co tyle krzyku? Chodzi przede wszystkim o owiane złą sławą artykuły 11. i 13. dyrektywy, a tak naprawdę 15. i 17., bo tamta numeracja pochodzi jeszcze z projektu, a nie ostatecznej wersji dokumentu. Zostańmy jednak przy starym nazewnictwie. Pierwszy z artykułów dotyczy tzw. praw pokrewnych wydawców prasowych, natomiast drugi mówi o odpowiedzialności właścicieli serwisów internetowych za treści tworzone przez użytkowników. I tu właściwie kończą się fakty, a zaczynają domysły i spekulacje.

Po pierwsze – art. 11. już zdążył zostać określany przez przeciwników ACTA 2 jako „podatek od linków”. Dlaczego? Ma on bowiem regulować wynagrodzenie za powoływanie się na materiały z innych źródeł. Nowe przepisy wymagają więc, by serwisy agregujące treści, np. Facebook czy Google płaciły posiadaczom

praw autorskich za zamieszczane fragmenty materiałów, a także prowadzące do nich odnośniki. Jeśli więc Google będzie chciało zamieścić w swojej usłudze Google News na przykład link do artykułu na Pudelku o nowych butach Maryli Rodowicz – gigant z Mountain View będzie zmuszony w ramach opłaty licencyjnej zapłacić właścicielowi serwisu o gwiazdach określoną sumę pieniędzy.

Na kim, zdaniem przeciwników ACTA 2 mogą odbić się takie praktyki? Proszę bardzo, głos ma prokurator – rzecz jasna na zwykłych użytkownikach. Niewykluczone, że korzystanie z internetowych agregatorów stanie się mocno okrojone, podobnie jak możliwość dzielenia się linkami do ciekawych artykułów i wpisów. Wielkie platformy mogą zwyczajnie postanowić nie płacić wydawcom prasowym i po prostu zablokować linki do ich stron. Może się więc okazać, że zalinkowanie jakiejś strony na Facebooku okaże się niemożliwe, bo portal Marka Zuckerberga nie wykupił licencji na zamieszczanie u siebie jej treści. Tak więc, jeśli spodobał nam się tekst o problemach sercowych Kasi Cichopek, a strona, na której jest on zamieszczony nie współpracuje z Facebookiem, to linka do dramatycznych perypetii aktorki już na naszą tablicę nie wstawimy i nasi znajomi będą musieli obejść się smakiem.

Ale oskarżyciele ACTA 2 podkreślają także, że nowe przepisy to przede wszystkim zagrożenie dla małych serwisów internetowych. Ruch na takich stronach jest generowany głównie za pośrednictwem dużych agregatorów treści, takich jak Google News, czy Facebook, które obciążone opłatami mogą zrezygnować z wykupywania licencji przede wszystkim od mniejszych wydawców. Zwyczajna biurokracja, ale i biznesowy pragmatyzm mogą sprawić, że Facebook czy Google uzgodnią licencję tylko z największymi graczami na scenie medialnej, tych mniejszych (a więc nieopłacalnych) najzwyczajniej w świecie pomijając. Trudno wszak wymagać, by włodarze Google'a byli w stanie usiąść do rozmów z każdą pojedynczą osobą publikującą treści w Internecie.

Co więcej – same portale medialne i komercyjni blogerzy, w obawie przed opłatami mogą przestać się wzajemnie cytować, a więc dotychczasowe powoływanie się na informacje z innych mediów



mogą zastąpić ukryte plagiaty, bez podawania źródła. Koronnym argumentem przeciwników ACTA 2 jest jednak precedens. Podobne przepisy zostały już bowiem kiedyś wprowadzone w Niemczech i Hiszpanii. Mówiąc wprost – nie wypaliły. Swoisty „podatek od linków” wprowadzony za naszą zachodnią granicą sprawił, że Google, nie chcąc płacić wydawcom, usunął ich treści ze swoich wyników wyszukiwania. Ogromne spadki wyświetleń na stronach szybko skłoniły medialne spółki do przyznania Google bezpłatnej licencji – czyli jedynym słowem powrócił status quo sprzed wprowadzenia przepisów, co zdaniem przeciwników obecnej dyrektywy najlepiej pokazuje jej destruktywność i bezcelowość.

No dobrze, a co na to obrońcy? Tu podnosi się głos, że przede wszystkim „podatek od linków” wcale żadnym podatkiem nie jest, bo nowe prawo nie dotyczy prywatnego i niekomercyjnego wykorzystywania materiałów przez indywidualnych użytkowników. Zwykły, szary internauta za udostępniane przez siebie treści nic nie będzie więc musiał zapłacić. Koszty mają dotyczyć tylko wielkich korporacji i bardziej będzie to swojego rodzaju opłata licencyjna aniżeli podatek. Ponadto dyrektywą nie będą objęte „bardzo krótkie fragmenty publikacji prasowych”, a więc pod określonymi warunkami wciąż możliwe będzie swobodne linkowanie bez żadnych licencji. Zwolennicy ACTA 2, do których zaliczają się głównie duzi wydawcy prasowi oraz organizacje zrzeszające artystów podkreślają, że nadchodzące przepisy w końcu zapewnią poszanowanie ich praw, gwarantując możliwość negocjacji z platformami i agregatorami treści. Wcześniej takie koncerty płaciły twórcom, przysłowiowe „co łaska” – teraz zaś będą zmuszone zasiąść do rozmów. Obrońcy ACTA 2 uspokajają, że na zmianach w żaden sposób nie stracą zwykli internauci, a jedynie wielkie korporacje, które obecnie wykorzystują swoją pozycję, czerpiąc przy tym olbrzymie dochody.

Ktoś chce coś dodać? Nie? W takim razie w naszej rozprawie przechodzimy do kolejnego punktu, czyli jeszcze bardziej upiornego, pechowego artykułu numer 13. A tutaj robi się jeszcze ciekawiej, bo w art. 13. mówi się już wprost o cenzurze prewencyjnej. Wszystko dlatego, że sprawa dotyczy filtrowania treści pod kątem praw autorskich. Platformy, których dotyczy art. 13. (a więc na przykład Facebook, YouTube czy Twitter) mają stać się odpowiedzialne za to, co zamieszczają na nich ich użytkownicy. Tu znów pojawia się magiczne słówko „licencja”, którą trzeba będzie podpisać z właścicielami praw na treści chronione prawem autorskim. Jeśli dany serwis nie dopełni obowiązków licencyjnych i pojawiają się na nim zabronione treści, wówczas jego właścicielowi grożą surowe kary – nawet w sytuacji, gdy treści te były wrzucone przez użytkowników, a nie właścicieli serwisu. Tak więc w momencie, gdy przeciętny użytkownik serwisu YouTube, pan Zbyszek, zapragnie wrzucić na swój kanał film z wycieczki w góry, z przygrywającą wesoło w tle skoczną muzyką braci Golec, karę za naruszenie ich praw autorskich ponosi Google – właściciel YouTube’a. A aby takich sytuacji uniknąć, portale internetowe – zdaniem naszych oskarżycieli – mogą być zmuszone do uprzedniego filtrowania treści zamieszczanych przez swoich użytkowników. Na wzór dawnego cenzora, specjalny algorytm,

opierający się na utworzonej wcześniej bazie tytułów zastrzeżonych prawem autorskim, będzie decydował, co może pojawić się na platformie bez narażenia jej na konsekwencje ze strony twórców. Mówiąc wprost – by dany portal lub strona nie musiały martwić się o ewentualne kary, może dochodzić do prewencyjnego, wcześniejszego usuwania z nich treści, w postaci zwykłego niezatwierdzenia ich do publikacji. Zawodność algorytmów rodzi tu natomiast obawę o to, czy skasowaniu zawsze zostanie poddany właściwy utwór. Przeciwnicy nowych przepisów czarno widzą także przyszłość sekcji komentarzy, które według nich mogą zostać zwyczajnie wyłączone (tu także mogą się przecież pojawić zastrzeżone materiały).

A co tymczasem słychać z ławy adwokackiej? Jaka jest linia obrony? Po pierwsze, bardzo mocno podkreśla się tu, że w dyrektywie wprowadzono masę wyjątków. Nie każdy będzie musiał świecić oczami za twórczość użytkowników. Nowymi przepisami nie będą na przykład objęte platformy, które działają krócej niż 3 lata, ich obroty są niższe niż 10 mln euro, a liczba użytkowników nie przekracza 5 mln miesięcznie. Tu prawo ma więc być pobłażliwe dla małych i początkujących portali. Ponadto art. 13. nie będzie także dotyczył encyklopedii internetowych (Wikipedia jest więc bezpieczna). Nietknięte mają być także między innymi archiwa edukacyjne i naukowe, platformy sprzedażowe jak Ebay czy Amazon i wszelkie inne witryny, których głównym celem nie jest dostęp do treści objętych prawem autorskim, ani ich magazynowanie. No i przede wszystkim z regulacji mają być wyłączone niekomercyjne prace internautów, takie jak memy czy gify. Docelowo przepisy mają być inwazyjne jedynie dla internetowych piratów. Obrońcy nadchodzących przepisów zapewniają, że prawo cytatu ma zostać zachowane, a do faktycznej cenzury może doprowadzić jedynie zbyt gorliwe dostosowanie się do przyjętych ustaleń.

No właśnie, bo w całym tym zamieszaniu należy przede wszystkim pamiętać o najważniejszym. Nasza oskarżona o zamach na wolność Internetu ACTA 2 jest „tylko” unijną dyrektywą. Oznacza to ni mniej ni więcej tyle, że jej kształt jest w gruncie rzeczy bardzo ogólnikowy i nieprecyzyjny, a ona sama konkretnych działań żadnemu państwu nie narzuca. Najprościej mówiąc – ACTA 2 wyznacza tylko cele, ale nie mówi, w jaki dokładnie sposób je zrealizować. Implementacja dyrektywy do krajowego porządku prawnego będzie już zależała od każdego państwa UE z osobna. To tak naprawdę tu wszystko się rozstrzygnie. Czy ACTA 2 rzeczywiście okaże się pożogą, trąbami apokalipsy i słusznym nawiązaniem do niesławnego projektu sprzed 7 lat? Czy może jednak nie będzie aż tak źle, Internet nie wybuchnie, a twórcy treści po prostu w końcu trochę zarobią? A może najzwyczajniej nic się nie zmieni? Kto chce, może wydać wyrok już teraz. Reszcie zostaje chyba tylko poczekać, w myśl nieśmiertelnej zasady „po owocach ich poznać”. Bo akta w sprawie ACTA piszą się cały czas.

Łukasz Trzaska

Stowarzyszenie Demokracja w Praktyce

Wszystkie artykuły dostępne są na stronie internetowej:
www.demokracjawpraktyce.pl



PISANIE to Twoja pasja?

**DOŁĄCZ
DO NASZEGO
ZESPOŁU
REDAKCYJNEGO!**

**ZADZWOŃ
LUB NAPISZ
DO NAS
I DOWIEDZ SIĘ
WIĘCEJ:**



12 616-78-19



mlodziez@um.krakow.pl